

Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które zostawi gorszy świat

Wojciech Orliński

Gazeta Wyborcza, 18 stycznia 2020 | 05:57

[za:] <https://wyborcza.pl/magazyn/7,124059,25602596,jestesmy-pierwszym-pokoleniem-ktore-zostawi-gorszy-swiat.html>

Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które zostawi gorszy świat

Nowy rok zaczął się od internetowej wojny pokoleń. Młodzi lewicowcy napisali, że poprzednim pokoleniom łatwiej było zdobyć mieszkanie. I się zaczęło!

Milcz i rządź

Najciekawszy wydał mi się wątek poboczny. Czy w polskich realiach mają sens amerykańskie pojęcia takie jak milenialsi, boomersi czy generacja X?

Uważam, że mają – bo układ pokoleń w XX wieku zdefiniowały wspólne dla całego globu wydarzenia – pierwsza i druga wojna światowa. Pierwsza zrodziła stracone pokolenie (lost generation), którego przedstawiciele już nie żyją, ale do dziś posługujemy się ich kodami kulturowymi (w Polsce to byli choćby skamandryci, na Zachodzie: Tolkien, Hemingway, Chandler i klasycy jazzu).

Pokolenie, które weszło w dorosłość równocześnie z wybuchem drugiej wojny światowej, nazywane jest u nas pokoleniem Kolumbów, a na Zachodzie – wielkim albo wspaniałym (greatest generation, génération grandiose). Wywarło bodajże najsilniejszy wpływ na dzisiejszą rzeczywistość – wytyczyło granice na mapach, często własną krwią.

W drugiej połowie XX wieku po obu stronach żelaznej kurtyny każdy przywódca musiał mieć w swojej biografii jakiś wojenny epizod, dowód męstwa i zdolności przywódczych, dlatego wielkie pokolenie nienaturalnie długo utrzymywało się przy władzy.

Dopiero w 1990 r. oddało Downing Street, gdy odeszła Margaret Thatcher, w 1993 r. Biały Dom, gdy odszedł George H.W. Bush, a w 1995 r. Pałac Elizejski, kiedy pożegnał się François Mitterrand. Polskie przemiany ustrojowe również dokonywały się początkowo między przedstawicielami wielkiego pokolenia – wywodzili się z niego i „ich prezydent” Wojciech Jaruzelski, i „nasz premier” Tadeusz Mazowiecki.

Ubočnym skutkiem wojny na górze w roku 1990 była sukcesja pokoleniowa. Prezydentem i premierem zostali przedstawiciele powojennego wyżu demograficznego, boomersi: Lech Wałęsa i Jan Krzysztof Bielecki.

Wieloletnia dominacja wielkiego pokolenia wytworzyła fenomen silent generation – milczącego pokolenia, czyli tych, którzy podczas wojny byli dziećmi. Wchodzili w dorosłość, gdy nie należało się wychylać z poglądami. Najbezpieczniej było ich nie mieć, dlatego to pokolenie wydało stosunkowo niewielu polityków.

W polskiej popkulturze zapisało się przede wszystkim ironicznym autoportretem w postaci inżyniera Karwowskiego, czyli serialowego czterdziestolatka.

Do milczącego pokolenia należeli ostatni przywódca ZSRR Michaił Gorbaczow i pierwszy przywódca niepodległej Rosji Borys Jelcyń. Obaj zrobili karierę w stylu typowym dla tej generacji – przez całe życie się nie wychylali, nie uczestniczyli w walkach frakcyjnych i po prostu przeczekali starszych towarzyszy.

W niektórych krajach na szczyty władzy nie doszedł żaden przedstawiciel tego pokolenia (np. w USA). W Polsce przez pół roku był to Jan Olszewski (1991-92). Krótkotrwałość jego władzy wynikała między innymi z tego, że w polskiej polityce nie było środowiska, które by go uważało za swojego.

Po nim premierami zostali Waldemar Pawlak (na krótko) i Hanna Suchocka (na dłużej). Oboje reprezentują pokolenie powojennego wyżu demograficznego – Suchocka falę wznoszącą (1946), Pawlak schyłkową (1959). W wielu krajach to pokolenie rządzi do dzisiaj (Putin, Trump, Kaczyński).

Agenci nakryci w redakcji

Buntować się przeciwko dominacji wielkiego pokolenia boomersi zaczęli jednak dużo wcześniej. Samo pojęcie konfliktu pokoleń wymyślono w latach 60. na ich użytek – przedstawiciele wielkiej, milczącej i straconej generacji mieli za dużo problemów, żeby jeszcze kłócić się z rodzicami o fryzury. To boomersom zawdzięczamy takie hasła jak: „Nie ufaj nikomu po trzydziestce” albo „Zabrania się zabraniać”.

Mieli najwięcej powodów do buntu, bo wielkie pokolenie rządziło żelazną ręką. Na Zachodzie nie wyglądało to tak brutalnie jak na Wschodzie, ale i tam działały się rzeczy dzisiaj nie do pomyślenia.

Obecnie może się wydawać, że studenci na Zachodzie trochę przesadzali, gdy nazywali swoje państwa faszystowskimi, ale nie przesadzali aż tak bardzo.

W 1970 r. w USA Gwardia Narodowa ostrzelała z ostrej amunicji studentów Uniwersytetu w Kent protestujących przeciwko wojnie w Wietnamie – zabiła czworo i ciężko zraniła dziewięcioro. W dochodzeniu uznano wprawdzie, że decyzja o otwarciu ognia była nieuzasadniona, ale do dzisiaj nikogo za to nie ukarano (wszystkie postępowania umorzono „z braku dowodów”).

We Francji w 1973 r. rysownik komiksów André Escaro wpadł do redakcji „Le Canard enchaîné” po godzinach i przyłapał na gorącym uczynku agentów wywiadu montujących nielegalny podsłuch. Sędzia śledczy wszczął postępowanie, zignorowawszy polecenie ministra Raymonda Marcellina. Wszak był niezawisły, więc minister nie miał prawa niczego mu zakazywać! Oddelegowano go na Korsykę, by tam prowadził sobie niezawisłe śledztwa. Sędzia Hubert Pinsseau, jego następca, umorzył sprawę ze względu na niską szkodliwość społeczną – nikogo w końcu nie ukarano.

Mniej szczęścia mieli szwedzcy dziennikarze śledczy Jan Guillou i Peter Bratt, którzy ujawnili istnienie komórki służby specjalnej o kryptonimie IB – tak tajnej, że o jej istnieniu nie wiedział nawet parlament. Zajmowała się inwigilacją środowisk na lewo od socjaldemokracji, włamaniami do ambasad, a także szpiegowaniem bratniej Finlandii. Ostatecznie jedynymi osobami, które poniosły odpowiedzialność, byli Guillou i Bratt, a także ich informator i redakcyjny fotograf. Wszystkich czworo w 1974 r. skazano na rok więzienia za ujawnienie tajemnicy państwowej, a sąd najwyższy i rzecznik praw obywatelskich odmówili zajęcia się sprawą.

W RFN w 1962 r. niemal cała redakcja poczwięgo tygodnika „Der Spiegel” została aresztowana za pisanie o domniemanych łapówkach, które minister obrony Franz Josef Strauss miał przyjąć od koncernu Lockheed. Postawiono im bardzo poważny zarzut zdrady stanu. W areszcie trzymano ich miesiącami, pismo było sparaliżowane. Sprawa skończyła się w 1966 r. – niczym. Ani Straussa, ani dziennikarzy nie ukarano.

Wyż wywalczył demokrację

Przytaczam przykłady dotyczące mediów, bo są mi najbliższe, ale mógłbym pisać też o tym, jak wtedy na Zachodzie traktowano strajkujących robotników czy mniejszości etniczne.

W 1961 r. w Paryżu zmasakrowano pokojową demonstrację Algierczyków. Policja strzelała do nich ostrą amunicją i spychała w stronę mostów nad Sekwaną. Znaleźli się w matni, z której jedyną drogą ucieczki był skok do rzeki – nie wszyscy go przeżyli. Ile było ofiar śmiertelnych? Do dziś nie wiadomo. Policja początkowo mówiła o dwóch, w 1998 r. przyznała, że było ich kilkadziesiąt. Historycy mówią o kilkuset.

Zatem pokolenie wyżu demograficznego miało solidne powody do buntu nawet w krajach stawianych za wzór demokracji, nie mówiąc już o tym, co się działo w krajach komunistycznych...

Demokracja taka, jaką znamy – w której strzelanie z ostrej amunicji do pokojowych demonstrantów albo aresztowania dziennikarzy są rzadkością – to zasługa pokolenia wyżu demograficznego. To ono ją dla nas wywalczyło, a walczyło nie lajeczkami na Fejsie, ale na ulicy, w oparach gazu łzawiącego, często przypłacając to utratą pracy, zdrowia, życia.

W Ameryce sędziwi boomersi pojawiają się dziś na demonstracjach z transparentami typu: „To nie do wiary, że ciągle muszę przeciwko temu protestować!”.

Pewnie tak samo czują się ich rówieśnicy w Polsce, gdy po pół wieku znów muszą demonstrować z transparentami: „TVP kłamie”.

Boomersi mają uczucie, że następne pokolenia zmarnowały wolność, którą oni wywalczyli. I trzeba przyznać, że mają ku temu podstawy.

Cała Polska z traumą

Przedstawiciele wielkiego pokolenia poza pałowaniem studentów i podsłuchiowaniem dziennikarzy mieli również wielkie osiągnięcia. Chcieli, żeby powojenny świat był znacząco lepszy od przedwojennego. A oni ponieśli bodajże największe wyrzeczenia ze wszystkich pokoleń XX wieku. Pojęcie stresu posttraumatycznego spopularyzowano dopiero po wojnie w Wietnamie, ale zaryzykowałbym tezę, że po 1945 r. cierpieli na to wszyscy dorośli Polacy.

Nie musieli walczyć na froncie. Wystarczyło, że byli ludnością cywilną w powstaniu warszawskim czy na Wołyniu albo wysiedleńcami z Bydgoszczy, Gdyni lub Zamojszczyzny. Powracającymi z Syberii albo ocalonymi z Holocaustu. Ci ludzie przeżyli tragedie, których oszczędzono następnym pokoleniom. Ich zaburzeń przeważnie nikt nie zdiagnozował ani nie leczył. Po wojnie nie poszli na terapię, tylko zakasali rękawy i grzebali zmarłych, odgruzowywali miasta, odtwarzali zniszczone dworce, szkoły i szpitale.

Doświadczenie drugiej wojny światowej sprawiło, że odruchowo przedkładali dobro wspólnoty nad dobro jednostki. Wszak Hitlera pokonały nie jednostki, tylko milionowe armie.

Chcieli więc budować takie państwo, które już nie da się pokonać wrogom zewnętrznym czy wewnętrznym, dlatego po obu stronach żelaznej kurtyny mieli zazwyczaj lekceważące podejście do swobód obywatelskich, ale nie lekceważyli edukacji, służby zdrowia, infrastruktury ani przemysłu.

Miasta utopijne

W krajach Europy Zachodniej władzę objęły ugrupowania socjaldemokratyczne albo (jak np. w Niemczech czy Finlandii) centrowe, które przejęły gospodarcze postulaty od socjaldemokratów. Ich rządy wprowadziły największe w historii świata programy inwestycyjne – budowano lotniska, autostrady, fabryki, uniwersytety i przede wszystkim mieszkania.

Nawet w niezniszczonej przez wojnę Szwecji uruchomiono „Miljonprogrammet” – program budowy miliona mieszkań. W Wielkiej Brytanii laburzyści zamiast odbudowywać slumsy, wprowadzili w 1946 r. ustawę o nowych miastach (New Town Act). Za jej sprawą powstały utopijne doskonałe, nowe miasta, takie jak Milton Keynes czy Basildon (skomunikowane z Londynem szybką koleją). Podobne nowe miasta (jak Marne-la-Vallée, znane głównie z Eurodisneylandu) wyrosły dookoła Paryża.

W Ameryce socjaldemokracja się nie przyjęła. Po wojnie rządili nią demokraci Harry Truman, potem republikanin Dwight Eisenhower. Obaj pod wieloma względami byli na lewo od Adriana Zandberga. Za ich rządów górna stawka podatku dochodowego wynosiła od 82 do 92 proc., w 1954 r. ustabilizowała się na wysokości 91 proc. Dopiero w 1964 r. obniżono ją do 77 proc.

Te podatki nie wstrzymały wzrostu gospodarczego – przeciwnie. W 1953 r. Amerykanie ogłosili koniec bezrobocia, bo przez siedem powojennych lat przybyło 11 milionów miejsc pracy. Każdy, kto wtedy w Ameryce chciał pracować, dostawał od ręki porządną umowę o pracę, z weekendami, płatnym urlopem, opieką zdrowotną itd. W epoce śmieciówek trudno to sobie nawet wyobrazić!

Za te podatki opleciono kraj siecią autostrad, posłano człowieka na Księżyc, wynaleziono internet i szczepionkę na polio. W 1949 r. Demokraci i Republikanie wspólnie przyjęli zaś ustawę mieszkaniową (Housing Act), zgodnie z którą wybudowano miliony mieszkań w nowych osiedlach.

Część tych osiedli trzeba było wyburzyć. Zaczęło się w 1972 r. od wyburzenia blokowiska Pruitt-Igoe w St. Louis. Ta data uważana jest za symboliczny koniec modernizmu w architekturze. Inne jednak stoją do dzisiaj i dostanie tam mieszkania jest marzeniem wielu mieszkańców Nowego Jorku czy Los Angeles (budowanych na podstawie tej ustawy mieszkań zazwyczaj nie można kupić ani wynająć na wolnym rynku).

Dolce vita!

W PRL wybudowano około 5 milionów mieszkań. Na początku transformacji blokowiska wyszły z mody, teraz je doceniamy. Zwykle są lepiej zaplanowane, mają lepszy dojazd.

Powojenne programy socjalne nie miały niczego porównywalnego w historii. Niemcy wspominają ten okres jako cud gospodarczy (Wirtschaftswunder), Francuzi jako 30 wspaniałych lat (Les Trente Glorieuses), Włosi jako słodkie życie (dolce vita), Szwedzi jako czas zbierania owoców (od przemówienia premiera Erlandera, który w 1946 r. ogłosił, że skończył się czas wyrzeczeń).

To wszystko wielkie pokolenie dało kolejnym pokoleniom – korzystamy z tych osiągnięć do dziś. Jego przedstawiciele też czuli się więc niesprawiedliwie potraktowani przez swoje dzieci i wnuki: nie chcieliśmy słuchać, gdy jakiś dziadek po raz setny odpowiadał nam, jak ciężko było przed wojną.

Największymi beneficjentami ich dorobku były dwa kolejne pokolenia: milczące i wyżowe. To one, wchodząc w dorosłość, dostawały pracę od ręki, a do tego na nierynkowych, preferencyjnych zasadach – klucze do nowych mieszkań w Nowym Jorku, Paryżu, Warszawie czy Moskwie.

Wspomniany inżynier Karwowski miałby dziś problem ze zdolnością kredytową na mieszkanie w serialowej lokalizacji (bliska Wola, przy stacji metra rondo ONZ). Dziś taka rodzina mieszkałaby raczej na Białoleścu.

Z podobnych przyczyn bohaterów klasycznych komedii Woody'ego Allena nie byłoby dziś stać na mieszkanie na Manhattanie, a bohaterów akademickich powieści Davida Lodge'a na Londyn (a już na pewno nie na te dzielnice). Gdyby dziś wymyślać fabuły o 30-40-latkach wykonujących mniej więcej takie same zawody, byłyby to opowieści o ludziach dużo bardziej ponurych, wykończonych codziennymi dojazdami i ratami kredytów.

Radź sobie z wolnością

Wielkie pokolenie mówiło swoim dzieciom: „Zbudujemy wam mieszkania, stworzymy miejsca pracy, wybudujemy supernowoczesne szkoły i uczelnie, stworzymy dla was programy emerytalne, które zapewnią wam dostatnią starość, ale w zamian oczekujemy bezwzględnej posłuszeństwa”. I jego przedstawiciele egzekwowali to prywatnie (jako rodzice) i publicznie (jako politycy) metodami, które dziś byśmy uznali za barbarzyńskie.

Baby boomers powiedzieli zaś swoim dzieciom: „Damy wam pełną wolność, której my nie mieliśmy w młodości, ale poza tym musicie sobie radzić sami. Nie masz mieszkania? Zmień pracę, weź kredyt. Nie ma pracy? Załóż firmę. Na emeryturę nie licz, licz na siebie”.

Mniej więcej to samo w latach 80. słyszał wchodzący w dorosłość nastolatek w Ameryce Reagana, Anglii Thatcher i Polsce Jaruzelskiego. Słyszeliśmy, że wielkie programy socjalne minionych dekad się skończyły, państwa już na to nie stać.

Uzasadnienia ideologiczne były odmienne, ale efekt podobny. Moje pokolenie w PRL usłyszało, że nie ma szans na mieszkania, czas oczekiwania w spółdzielniach wzrósł do absurda kilkunastu lat.

Mogliśmy coś sobie wpłacać na książeczki mieszkaniowe, ale to nie miało sensu. Oficjalna propaganda namawiała, żebyśmy zamiast tego zakasali rękawy i sami sobie coś zbudowali. Związany z opozycją Aleksander Paszyński za przyzwoleniem władz od 1982 r. wydawał pismo „Murator” propagujące tę ideę.

Pokolenie zgrywy

Słyszac od rodziców, że ze wszystkim musimy sobie radzić sami, wyrosliśmy na pokolenie największych indywidualistów i cyników w dziejach. Douglas Coupland nazwał nas w swojej głośnej książce pokoleniem X, bo nikt, nawet my sami, tak naprawdę nie wie, o co nam chodzi.

Nie dlatego, że milczymy jak konformistyczne silent generation. O nie, potrafimy być bardzo głośni i bardzo nonkonformistyczni, jesteśmy wszak pokoleniem punk rocka i gangsta rapu, ale wszystko bierzemy w ironiczny cudzysłów. Z wszystkiego robimy zgrywę, niczego nie traktujemy na serio, zacieramy różnicę między kulturą wysoką a rozrywką.

Najgłośniejsze książki, filmy i seriale twórców mojego pokolenia budzą zazwyczaj dyskusję wokół tego, co właściwie autor powiedział na serio, a co chciał skrytykować. Takie spory towarzyszą

filmom Tarantino, powieściom Houellebecq, serialom takim jak „Breaking Bad”, a także prozie Olgi Tokarczuk.

Nie mówię, że to źle. Uwielbiam to, co wymieniłem, ale twórcy poprzednich pokoleń potrafili się jasno wypowiedzieć: Hemingway, Camus czy Ingmar Bergman. A czy Lars von Trier jest mizoginem, czy krytykiem mizoginizmu, tego pewnie on sam nie wie.

Nasz cynizm okazał się destrukcyjny, bo przecież prawdziwy cynik nie będzie biegał, wołając: „Patrzcie, jaki jestem cyniczny!”. Powie raczej, że jest wielkim patriotą i chce uczynić swój kraj większym. I dlatego właśnie musi przewalić setki milionów publicznych pieniędzy na jakiś bardzo patriotyczny cel. On tym celem otwiera oczy niedowiarkom! I to nie jest jego ostatnie słowo! I dostaje 20 proc. kosztorysu jako konsultant... koniaczku?

Gdy chcemy powiedzieć coś na serio, cytujemy Bareję, „South Park” albo „Saturday Night Live”. Stworzyliśmy warunki gry, w których na wygranej pozycji są ci, których się najbardziej boimy: autorytarni populiści chcący nam zabrać wolność i dobrobyt wywalczone przez poprzednie pokolenia.

W ten sposób prawdopodobnie staniemy się pierwszym pokoleniem, które zostawi świat w gorszym stanie, niż go zastało. Wchodziliśmy w dorosłość w euforii „końca historii” roku 1989. Internet był wtedy swobodnym forum wymiany idei i dostępu do informacji, czempionem racjonalności i demokracji.

Dziś jest zmonopolizowany przez kartel GAFA. Jest narzędziem korporacyjnego wycisku i inwigilacji. Demokracja jest w odwrocie, Unii Europejskiej grozi rozpad, reszta świata szuka wzorców raczej w Chinach i Rosji. To jest dorobek mojego pokolenia – Borisa Johnsona, Davida Camerona, Jeffa Bezosa, Petera Thiela...

Lament milenialsów

Najbardziej przegranym pokoleniem są tu nasze dzieci – mileniałsi. Zostawiliśmy im zniszczony klimat, czego najgorszych skutków szczęśliwie już nie dożyjemy. Zostawiamy im miasta, w których w najlepszych lokalizacjach mieszkają ci, na, którzy wygrali los na loterii: po prostu mieszkali tam w latach 80. i 90. Na Zachodzie i na Wschodzie uruchamiano specjalne programy, by ułatwić te uwłaszczenia, często z bonifikatą ponad 90 proc.

Czytaj także:

[**"Będę korzystać z życia, bo nie dożyję najgorszych skutków zmiany klimatu". Super. A twoje dziecko?**](#)

Na peryferiach mają zaś dysfunkcjonalne osiedla budowane przez generację X. Nikt tam nie chce mieszkać, a generowany przez nie ruch zatyka arterie wylotowe.

A rynek pracy? Mój rocznik zaczynał, gdy obowiązywały zbiorowe układy pracy, w większości branż zlikwidowane w 1996 r. Po trzech miesiącach stażu po prostu musiałem dostać bezterminowy etat i przysługuje mi dodatek do emerytury!

Dziennikarze, którzy zaczynali pracę w mediach jakieś trzy lata po mnie, nie byli już nim objęci. Nie będą mieć nie tylko dodatku do emerytury, ale też być może i samej emerytury (trzymani w nieskończoność na stażach i śmieciówkach odprowadzili niewiele składek).

Każdy kolejny rocznik miał coraz gorzej. Najpierw coraz trudniej było zmienić pracę, potem wziąć kredyt.

Nic dziwnego, że mileniałsi tracą wiarę w wolny rynek, marzą im się wielkie programy socjalne podobne do tych sprzed 70 lat. Bliżej im do wspólnotowego podejścia pokoleń wielkiego i milczącego niż do indywidualizmu iksów i boomersów.

Z katastrofą klimatyczną jest przecież jak z Hitlerem: jednostki jej nie powstrzymają. Niezbędne jest działanie całych społeczeństw w międzynarodowym sojuszu przeciw wspólnemu zagrożeniu.

Dzień Babci i Dzień Dziadka to świetna okazja, by się zastanowić nad tym, ile zawdzięczamy dziś ich pokoleniom oraz jak będą nas wspominać pokolenia naszych wnuków. Czy powiedzą, że zawdzięczają nam więcej dobrego niż złego?